

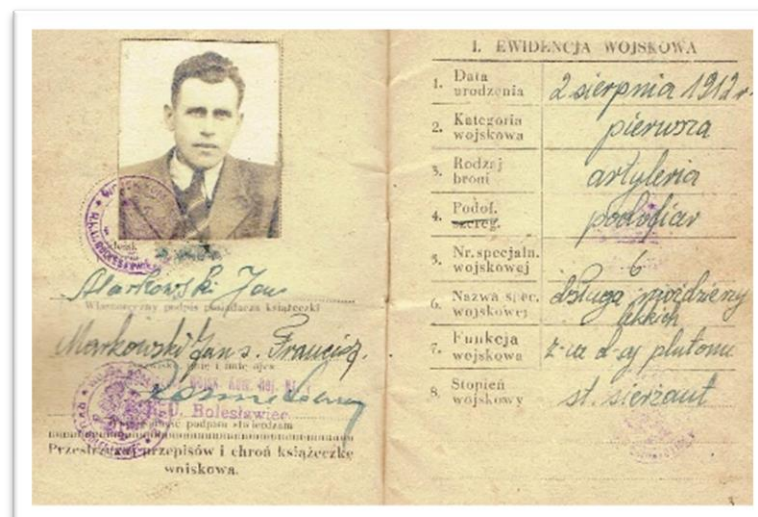
Tusia

„Opowiedział mi dziadek” - historia w słowach, smaku i zapachu zapisana.

Lubię odwiedzać mojego dziadka. Często siadamy wtedy przy stole w kuchni i gramy w karty, warcaby lub szachy. Jednak to nie z powodu gier tak bardzo cenię sobie te spotkania. To z powodu jego opowieści, rodzinnych wspomnień. Dziadek ma wyjątkowy dar. Powrót do rodzinnych historii przychodzi mu bardzo łatwo. Czasem jego opowieści przenoszą mnie do czasów młodości mojego taty, czasem dziadek sięga pamięcią dalej i opisuje jak to było, gdy on był małym chłopcem, a czasem wraca w myślach, aż do opowieści jego taty, a mojego pradziadka, nawet aż na podhowską wieś Sokolniki. Opowiada mi fakty z historii naszej rodziny, ale także swoje odczucia i ciekawostki z życia codziennego, które cenię sobie najbardziej.

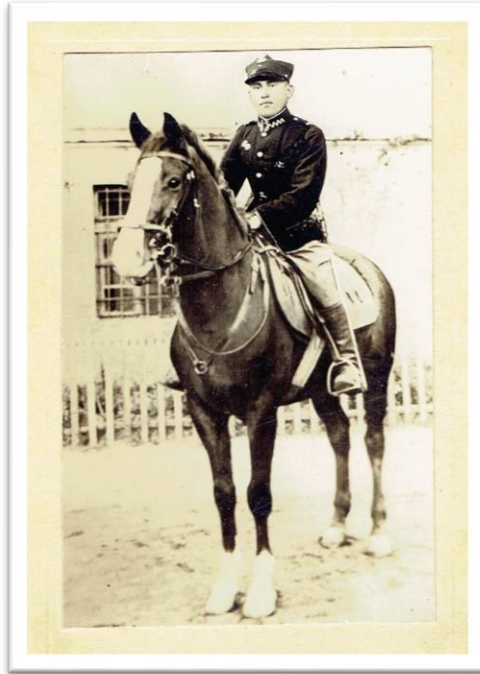
Z Sokolnik do Gerlachsheim

Tato mojego dziadka nazywał się Jan Franciszek Markowski. Urodził się 2 sierpnia 1912 roku w Sokolnikach. Była to mała wieś niedaleko, bo niecałe 10 km, od Lwowa. Wtedy była to jeszcze Polska. Rodzice jego prowadzili tam małe gospodarstwo rolne. Mój pradziadek też miał zostać na gospodarstwie. Niestety, historia zdecydowała za niego. Pradziadek nie został na rodzinnej gospodarce w Sokolnikach. Dnia 4 listopada 1933 roku, gdy miał on zaledwie 21 lat, został wcielony do wojska. Trafił do 4 szwadronu 14 pułku ułanów.



Fot. 1. Fragment księżeczki wojskowej Jana Franciszka Markowskiego, mojego pradziadka.

Teraz wiem, że to między innymi o moim pradziadku śpiewałam kiedyś na jednym z apeli w szkole: „*O Jezu, a cóż to za wojacy? Otwieraj! Nie bój się to czwartacy*”. Oczywiście są to słowa pochodzące z pieśni patriotycznej „Przybyli ułani pod okienko”.



Fot. 2. Jan Franciszek Markowski w czasie służby w 4 szwadronie 14 pułku ułanów.

Przebieg służby wojskowej zaprowadził młodego Jana Markowskiego do rodzinnego domu mojego dziadka. Pod koniec II wojny światowej, w maju 1945 roku, oddział, w którym stacjonował mój pradziadek, został skierowany do prac przy żniwach żniw na polach należących do zamku Czocha koło Leśnej. Żołnierzy zakwaterowano w okolicznych domostwach. Pradziadek trafił do niemieckiej rodziny we wsi Gerlachsheim.

Tam dom twój, gdzie serce twoje

27 listopada 1945 roku zdemobilizowany 33-letni Jan Markowski, po trudach wojennej zawieruchy, postanowił zostać w Gerlachsheim. Po wojnie wieś zmieniła nazwę na Bartniki. Nazwa ta wzięła się stąd, że było tam kilka dużych gospodarstw pszczelarskich. Gospodarstwo leżało dokładnie w Bartnikach Średnich, wsi o zabudowie górskiej łańcuchowej. Do najbliższego domostwa było ok. 300 metrów. W otoczeniu domu znajdowały się łąki, pola, sady, niewielki las i potok. Z podwórka można było zobaczyć Wielką Kopę. Ziemia była żyzna, klimat sprzyjający rozwojowi rolnictwa. To wszystko wpłynęło na decyzję pradziadka o tym, że będzie to jego nowy dom. W jego sercu pojawiła się miłość do tego pięknego zakątka Polski. Na przełomie 1945 i 1946 roku, rodzina niemiecka, u której dotychczas mieszkał

pradziadek, została wysiedlona i nie było już przeszkód, aby sprowadzić na gospodarkę swoich bliskich, którzy musieli opuścić swoją dotychczasową rodzinną wieś Sokolniki. Niemcy opuszczając dom, mogli zabrać jedynie 15 kg swojego dobytku. Na gospodarstwie zostało zatem prawie wszystko. Do Bartnik Średnich trafili: mama pradziadka - Zofia Markowska oraz jego dwaj bracia - Antoni i Jakub ze swoją żoną.

ZGŁOSZENIE ZAMELDOWANIA

a) zamieszkania
b) pobytu czasowego
c) urodzenia
d) zawarcia związku małz.

niepotrzeżne skreślić (nie wpisuje się w rubrykę 11)

1. Nazwisko *Markowska*
dla mężczyzny
panieńskie z poprzedniego lub małżeństwa

2. Imiona *Zofia*
kolejnego i pła. imię w. imię urodzenia lub imię przybrane

3. Imiona rodziców *Jędrzej i Maria*
i nazwisko panieńskie matki *Krociak*

4. Urodził (a) się w *14. 11. 1887* roku
w *Sokolnikach woj. łódzki*
miejscowość gmin. powiat w. kraj

5. Zawód i stanowisko w zawodzie, stanowiące główne źródło utrzymania *brak*

6. Stan cywilny *wdowa*
kawałeczek, wdowa, żona, mężatka, wdowa
po Franciszku
imię drugiego z małżonków

7. Przynależność państwowa *polska*

8. Narodowość *polska* wyznani je *katol*

9. Jakim dokumentem legł (nie wpisać nazwa dokumentu) *paszport Nr. 1887*
z dnia 4. 11. 1946
data

10. Sprawy wojskowe:
a. czy posiada dotychczas, tak nie
b. gdzie jest rezerwowym
c. stopień wojskowy

11. Instrukcja meldunkowa, w tej rubryce należy wpisać *Sokolniki woj. łódzki*
dotyczy poprzednio

D. c. tej rubryki na odwrocie

b. przy zgłoszeniu przychyla na pobyt czasowy
dokładny adres stałego zamieszkania

c. przy zgłoszeniu urodzenia dzieci:
jeżeli nie sporządzono aktu urodzenia—do rubr. 2 (imiona) wpisać litery S³ jeżeli syn lub C—jeżeli córka; ponadto wypełnić rubryki 1, 3, 4, 12, 13 i 14, jeżeli jest akt urodzenia spisany wpisać Nr. 1 dacie aktu oraz imię i miejscowość urzędu

d. przy zgłoszeniu zawiadomienia o zawarciu związku małżeńskiego do rubr. 1 wpisać nazwisko z męża oraz do rubr. 11—Nr. datę aktu małżeństwa, gdzie sporządzono akt małżeństwa

12. Adres dotychczasowej osoby pochodzącej z meldunek *Bartniki Średnie woj. łódzki p. dębica*
miejscowość lub komis. gmina powiat

13. Wiarogłoność powyższych danych własnoręcznym podpisem stwierdzam, dnia *27* m-ca *III* 1946 r.

Główny Urząd Państwowy
Dzielnicy Obywatelskiej
ul. Długa 1
14. Stwierdzam, że wyżej wymieniona osoba zamieszkała w lokalu *27* w mieście gł. lokatorska *11* 1946
podpis osoby chowającej do zw. o przybytek *Jędrzej*
data

15. Adnotacje urzędowe. Zgłoszenia w Biurze Meldunkowym przyjął dnia *6* m-ca *VI* 1946 r.

Fot. 3 i 4. Zgłoszenie zameldowania Zofii Markowskiej w Bartnikach Średnich w dniu 27 marca 1946 r.

Przyjechało również kilku sąsiadów z podłwowskiej wsi. Antoni nie zabawił tam jednak długo, gdyż wyjechał do Żar, gdzie mieszkała już jego narzeczona. We wsi wiele domów stało opuszczonych, więc nie było problemu ze znalezieniem dla siebie miejsca. Dom po Antonim zajęła przyszła żona mojego pradziadka, czyli moja prababcia, Maria Magoń. Co ciekawe, była ona siostrą żony Jakuba, brata pradziadka.

Pradziadkowie w swojej nowej małej ojczyźnie powoli zadomawiali się. Na świecie pojawiły się ich dzieci, mój dziadek Stanisław i jego siostra Maria. A później wnuki, które bardzo często odwiedzały swoich dziadków.



Fot. 9 i 10. Maria i Jan Markowscy na tle domu, po lewej z dziećmi, Marią i Stanisławem oraz kuzynem Władysławem, którego przyjęli na wychowanie, po prawej z wnukami.

Trudy powojennego życia

Życie na wsi nie było łatwe. W kranach nie było bieżącej wody. Kiedy prababcia robiła pranie, to najpierw musiała przynieść wodę ze strumyka, a później nagrzać ją na piecu i dopiero wtedy można było prać. Płukanie zawsze odbywało się w strumieniu. Niestety, ten strumyk bardzo lubiły też kaczki i często się w nim kąpały. Trzeba było je wtedy przeganiać i odczekać trochę, bo woda była zmacona i brudna. Łazienki też nie było. Kąpano się w blaszanej wannie, latem na dworze, a zimą w kuchni. Kuchnia stanowiła najważniejsze miejsce w domu.

Pradziadkowie zajmowali się uprawą roli oraz mieli trochę zwierząt gospodarskich i drobiu. Czasy były takie, że nie można było mieć, co się chciało. Gospodarka była nakazowa. Każdego roku w gospodarstwach musiano siać i hodować to, co nakazano. Po zebraniu plonów ich część obowiązkowo zawoziło się do skupu. Pradziadkowie siali m.in. len, grykę, mak, rzepak. Sadzili ziemniaki, buraki cukrowe i kapustę. Do skupu trafiały też jajka, mleko i mięso.



Fot. 11. Maria i Jan Markowscy z dziećmi, Marią i Stanisławem w zagonie kapusty.

Problemem były także ograniczenia w dostawie prądu. Przez pewien czas nie można było podłączać do prądu w czasie dnia urządzeń elektrycznych, gdyż prąd był potrzebny dla okolicznych fabryk. Dziadek opowiadał, że zdarzyło się raz, iż pradziadek włączył w dzień młockarnię. Zabrakło mu zboża na zasiew i chciał wymłócić, aby od razu dosiać. Niestety karą okazało się odcięcie kabla doprowadzającego prąd do gospodarstwa i konieczność ponownego wnioskowania o przyłącze.

Kuchnia centrum życia

Dziadek opowiadał mi, że wszyscy lubili przesiadywać w kuchni, bo to właśnie to pomieszczenie było od zawsze miejscem, gdzie spędzało się większość czasu, szczególnie zimą. W jego rodzinnej kuchni w Grabiszycach Średnich, bo taką nazwę w 1947 roku przyjęły Bartniki Średnie, stał duży piec kaflowy, więc było tam ciepło i przyjemnie. Piec służył do gotowania posiłków, grzania wody do kąpieli oraz prania. Piekło się w nim także chleby, ciasta oraz suszyło na nim owoce. Naprzeciwko pieca stał drewniany stół z wyciąganymi miskami do mycia naczyń. Tato mojego dziadka zrobił nawet w kuchni prymitywną kanalizację i nie trzeba było wynosić samemu wody po myciu naczyń na zewnątrz. Można powiedzieć, że był to taki pierwszy zlewozmywak.



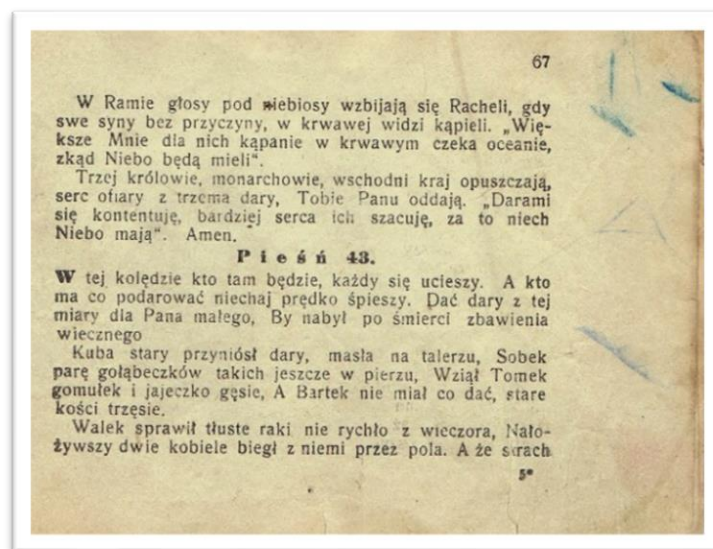
Fot. 12. Zmywanie naczyń podczas jednej z uroczystości rodzinnych.

Na stole moja prababcia przygotowywała makaron, pierogi i inne potrawy, które potem spożywali jej bliscy. To właśnie tam mój dziadek grywał też ze swoim tatą w różne gry karciane, warcaby czy chińczyka. Według wspomnień dziadka w kuchni zawsze pięknie pachniało. Bo jak mogły wspaniale nie pachnieć suszone owoce czy pieczone ciasta? Może dlatego, nawet dziś, dziadek lubi spędzać ze mną czas właśnie w kuchni.

W święta zawsze razem

W Grabiszycach święta zawsze były niezwykle. Z uwagi na geograficzne położenie przeważnie już w listopadzie leżało tam mnóstwo śniegu, co dodawało świętom magii. Dziadek wspominał, że nawet, gdy miał już swoją rodzinę, to święta Bożego Narodzenia najczęściej spędzał właśnie w swojej rodzinnej wsi. Przygotowania do uroczystej wigilijnej kolacji zaczynały się wiele dni wcześniej. Każdego roku przed świętami pradziadek biał całą kuchnię i pokój, w którym domownicy spożywali wieczerzę. Prababcia piekła wspaniałe ciasta. Szczególnym uznaniem cieszył się sernik, który według wspomnień dziadka, zawierał dodatkowy składnik, który sprawiał, że był lepszy od innych. Ale jaki, to nasza rodzinna tajemnica. To nie były przecież czasy, że można było tak jak teraz, iść do sklepu i kupić wszystko. Święta wymagały kiedyś wielu przygotowań. Na stole zawsze leżał biały obrus, a pod nim sianko. W rogu pokoju stała pięknie zdobiona ręcznie wykonanymi ozdobami choinka. Prababcia zawsze dbała, aby na stole znalazło się dwanaście potraw. Oczywiście wszystkie bez mięsa. Ulubioną potrawą mojego dziadka była kutia, bogata w bakalie i miód

z własnej małej pasieki. Po ugotowaniu specjalnej pszenicy na kutię, mama dziadka zawsze rzucała łyżką kutii w sufit. Jeśli do sufitu przykleiło się dużo pszenicy, to w następnym roku spodziewano się obfitych zbiorów tego zboża. Kiedy zakończono już wszystkie przygotowania, można było w końcu zasiąść do stołu. Kolację poprzedzała modlitwa i dzielenie się opłatkiem. Pradziadkowie szczególnie dziękowali za to, że mogą wspólnie z bliskimi spędzać święta. Ich życie pokazało, że nie jest to takie oczywiste. Kiedy pierwszy głód był już zaspokojony, przychodził czas na kolędy. Dziadek przerwał na chwilę swoją opowieść i zaczął cicho nucić: „*W tej kolędzie kto tam będzie, każdy się ucieszy. A kto ma co podarować niechaj prędko śpieszy. Dać dary z tej miary dla Pana małego, by nabył po śmierci zbawienia wiecznego. Kuba stary przyniósł dary, masła na talerzu, Sobek parę gołąbeczków takich jeszcze w pierzu, Wziął Tomek gomółek i jajeczko gęsie, a Bartek nie miał co dać, stare kości trzęsie*”. Nie znałam ani tej melodii, ani słów. Okazała się to być jedna z kolęd „przywiezionych” ze Wschodu, dziadka ulubiona.



Fot. 13. Strona z kantyczki z kolędami i pastoralkami przywiezionej z Sokolnik.

Po kolędowaniu były prezenty. Ulubiony czas zarówno tych dużych, jak i małych. Nie były one drogie, ale za to przygotowane od serca. Wigilijny wieczór kończyło udanie się na pasterkę. Jechano tam oczywiście saniami. Do kościoła nie dało się inaczej dotrzeć przez śnieg, którego było bardzo dużo.



Fot. 14. Salomea i Stanisław Markowscy (moi dziadkowie) z kuzynem Władysławem jadą saniami do kościoła.

„Szach i mat”. Niestety, znowu nie udało mi się wygrać z dziadkiem. Składałam grę i pomimo przegranej w szachy, odchodzę z dumną miną zwycięzcy. Już sam czas spędzony z moim dziadziusem i wysłuchanie tych niezwykłych historii to przecież wygrana. Czas wracać do domu. Kiedy następnym razem odwiedzę dziadków, pewnie usłyszę więcej rodzinnych historii. A może wtedy to babcia mi coś opowie...

Wspomnienia z Krasów Wschodnich, ból rozstania z dzieciństwem, pierwsza miłość, troski i radości życia codziennego, ważne wydarzenia... Kiedy wrócę do domu spróbuję wyhaftować słowem barwny kilim, który pozwoli przyglądać się dziejom naszej rodziny następnym pokoleniom.